Lipiec – Sierpień 2020

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

251

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE"

KOŁO W CZASACH ZARAZY

Od wydania ostatniego numeru MM minęło kilka miesięcy. Wydawało się, że jesienią sytuacja z pandemią unormuje się i wrócimy do normalnego trybu działania. Tymczasem, zniesiono wprawdzie te najsurowsze ograniczenia i restrykcje, niektórzy w ogóle przestali przejmować się wirusem, ale COVID nie odpuścił, a dzienna liczba zachorowań kilkukrotnie wzrosła. Lockdown nie mógł jednak trwać w nieskończoność. Również nasza kołowa działalność powoli zaczęła odżywać.

Przede wszystkim można było uruchomić wyjazdy szkoleniowe kursu – oczywiście przy zachowaniu wymagań sanitarnych. Wykłady nadal odbywają się natomiast zdalnie przez internet.

Podjęto też próby zorganizowania zebrań. Na razie odbyło się jedno zebranie wakacyjne.

Ruszyła baza namiotowa na Przysłopie Potóckim, w której działalność zaangażowani są również Harnasie. Redakcji, która przelotnie odwiedziła bazę w jedną z niedziel, udało się nawet spotkać tam samego Ojca Założyciela, czyli Piecza! Baza będzie czynna co najmniej do 20.09, a może nawet do końca września.

Również nasze prywatne, harnasiowe wyjazdy nieco odżyły. Po wiosennym zamknięciu, a potem otwarciu lasów, gdy strach było w ogóle wyjechać na wycieczkę, a nawet wyjść na spacer czy na rower, zaczęliśmy realizować wyjazdy najpierw w ścisłym gronie rodzinnym, a potem w gronie najbliższych przyjaciół. Na wakacje wyruszyliśmy już nieco śmielej, choć nadal z pewnymi ograniczeniami. Niektórzy wyjechali za granicę, ale większość wybrała chyba opcję krajową.

W kolejnym numerze Redakcja postara się tradycyjnie zamieścić krótkie notki o tym, co robiliśmy w te nietypowe wakacje, dlatego piszcie o tym na forum lub bezpośrednio do Redakcji.

Ostatnio dostaliśmy też informację od Rady Koła o Walnym Zebraniu, które ma się odbyć 25 września. Będzie to pierwsza po Blachowaniu okazja do bezpośredniego spotkania w większym gronie.

Redakcja

MADERA Z NAMIOTEM

Dzień czwarty

Noc minęła spokojnie – nikt mi w nocy przez namiot nie przegalopował – na zewnątrz piękna pogoda, czas zatem przywitać się z nowym dniem. Znajduję się w strefie zacienionej, po zachodniej stronie nienazwanego szczytu w grani, co skutkuje sporą ilością wilgoci na tropiku. Nie ma w najbliższej okolicy liści, którymi mógłbym zebrać nadmiar wody, próbuję ją zatem jak najskuteczniej strzepać przed zwinięciem majdanu. Przy schylaniu się spodnie robią nagle małe „trrr" – sprawdzam ręką. No tak, pęknięcie...

Kwestia, co z dalszą trasą. Czy wczoraj przeoczyłem odbicie interesującego mnie szlaku, czy też czeka mnie spore nadłożenie drogi oraz duża strata wysokości, bo to właśnie by się wiązało z koniecznością zejścia najpierw do Curral das Freiras. Zarzucam plecak na grzbiet i wracam do przełęczy. Tuż za nią odchodzi wąska, ale zupełnie wyraźna ścieżka, której wczoraj nie zauważyłem, chłonąc łapczywie krajobrazy w zachodzącym słońcu. Zresztą, co tu dużo mówić – poranny widok na tonącą jeszcze w cieniu dolinę ze spływającymi po piekielnie stromych zboczach świetlistymi promieniami również budzi zachwyt. Co więcej – właśnie odkryta ścieżka wyprowadza na trawiaste wypłaszczenie grzbietu, gdzie spokojnie mogłyby stanąć nawet dwa namioty. Cóż, nie pierwszy i zapewne nie ostatni raz, kiedy przegapiłem ciekawą opcję.

Kawałek dalej odchodzi w prawo, w dolinę, szlak do Curral das Freiras, zaś ścieżka na wprost, lekko podnoszącym się grzbietem, opatrzona jest tabliczką: „Pico Grande". Mając nadzieję, że ta trasa nie skończy się na tym szczycie, tylko pozwoli mi zamknąć pierwszą pętlę na głównej grani, ruszam w kierunku Wielkiego Szczytu. Tymczasem teren szybko staje dęba, zaś trasa odchyla się w prawo, prowadząc skośnie w górę, a trudniejsze skalne fragmenty ubezpieczone są miejscami stalową liną.

Kiedy osiągam łagodniejsze stoki z lekkim wgłębieniem, sprawdzam, czy nie płynie tam jakaś woda, bo mam już tylko jedną butelkę życiodajnego płynu. Niestety, nic z tego – będę musiał dziś mocno oszczędzać. Napotykam rozstaje, gdzie w lewo odchodzi ścieżka na szczyt. To budzi uzasadnioną nadzieję, że główny trakt poprowadzi mnie jednak do głównej grani – zrzucam zatem wielki garb z grzbietu i na luzie ruszam w górę ciekawym, miejscami ubezpieczonym, skalistym terenem.

Bez mojego ciężkiego przyjaciela szybko wdrapuję się wierzchołek Pico Grande (zbyt szybko chyba, bo następuje kolejne „trrr" z tyłu spodni), gdzie nagrodą jest wspaniały dookolny widok. Kiedy zaglądam w głęboką dolinę, leżącą u moich stóp, tyle że ponad kilometr niżej, widzę Zagrodę Zakonnic – czyli Curral das Freiras – całkowicie już oblaną promieniami słońca. Uwieczniam się na szczycie, a że żołądek już się upomina o swoje prawa, wracam do pozostawionego plecaka, by zasiąść do porannej uczty. Dostrzegam przy okazji ludzi poniżej, nie mam jednak okazji zasięgnąć języka, gdyż nie docierają do miejsca mojego pikniku.

Posilony, ruszam zauważoną ścieżką, trafiając z rzadka na kamienne kopczyki, a nawet na mocno już zatarte ślady namalowanego niegdyś tu i ówdzie szlaku. Towarzyszy mi fascynująca sceneria skalnych formacji, powstała w wyniku erozji zastygłej niegdyś lawy. Czeka mnie teraz bardzo strome zejście na przełęcz, miejscami zaopatrzone w schodki, tyle że te z ułożonych kamieni są już mocno zdekompletowane, zaś inne, wykute w skale, mają wymyte obłości w miejscu nieistniejących już krawędzi.

Niżej ścieżka traci wyrazistość i coraz częściej trzeba się domyślać jej dalszego przebiegu, za każdym jednak razem udaje mi się odnajdywać jej kontynuację. Nadal prowadzi stromo w dół, co z ciężkim plecakiem odczuwam jako najtrudniejszy fragment całej dotychczasowej wędrówki. W końcu trend się odwraca i zdobywam stoki Pico do Cerco, nie pchając się jednak na sam wierzchołek. Za nim obniżam się już łagodniej w górne partie różnych dopływów przekraczanej wczoraj Ribeira do Poço. Kolejny szczyt, Pico das Empenas, ścieżka omija dosyć szeroko, chociaż słowo „ścieżka" nie oddaje charakteru trasy. Jako że szlak najwyraźniej dawno nie był odnawiany, to zdążyły go już opanować dosyć gęste zarośla, a gdzieniegdzie przegradzają go powalone pnie. Do tego w wielu miejscach ślady pożaru zaczerniły częściowo zwęglone gałęzie, które czepiają się plecaka, a z drugiej strony ja sam muszę z nich korzystać do bezpiecznego postawienia kolejnego kroku. To wszystko powoduje, że pokrywam się niemałą warstwą brudu, a żywej wody zupełnie brak.

Zdarza się, że muszę kombinować, szukając obejścia zawalonego przez pnie i gałęzie fragmentu trasy, zaś w jednym miejscu robię z wysiłkiem duży krok na głaz, który okazuje mi swoją przychylność – to znaczy, przychyla się w moją stronę, więc szybko muszę z niego uciekać. Słyszę przy tym kolejne „trr", powiększające moje obawy, czy nie zostanę wkrótce oskarżony o ekshibicjonizm. Wreszcie – cały zasadzony od wszechobecnej sadzy – opuszczam teren zwęglonej roślinności, zaczynając się wspinać już znacznie przyjemniej. Spotykam schodzącą parę z jednym lekkim plecakiem – pozdrawiamy się jedynie, chociaż przyglądają mi się nieco badawczo, ale nie pytają o przyczynę takiego mojego wyglądu. Cóż, za chwilę będą wszystko wiedzieli.

Słychać w dole szum wody, ale zbyt nisko i zbyt stromo jest tutaj, żebym próbował tam nurkować. Natomiast moje duże zainteresowanie budzi leżąca obok ścieżki mała butelka wody mineralnej z bezbarwną zawartością. Podnoszę, odkręcam, wącham, lekko moczę wargi… woda, najzwyklejsza woda! Pochłaniam zatem całą zawartość, dziękując w myślach darczyńcom, nawet mimowolnym. Teraz teren staje dęba, człapię więc bardzo powoli, rozglądając się wciąż za wodą. Widzę skapujące ze skał wąskie strużki, jednak dwie pierwsze próby spełzają na niczym – zbyt stromo i niebezpiecznie. Dopiero za trzecim razem udaje mi się napełnić półtoralitrową butelkę – wypijam z niej sporo na miejscu i ponownie napełniam pod korek.

cd. str. 2

Wolny od obaw uschnięcia z pragnienia, podążam systematycznie w górę, a gdy teren zaczyna się lekko kłaść, spostrzegam leżącą na ziemi czerwoną tablicę z napisem: „Dead End”. Domyślam się, że to informacja dla idących z przeciwnej strony, zatem teraz powinno już być znacznie łatwiej. I tak faktycznie jest. Po chwili docieram do szlaku prowadzącego głównym grzbietem, zamykając w ten sposób pierwszą małą pętlę. Nie jest to miejsce, o którym wczoraj myślałem, tylko nieco od niego odległe w kierunku Encumeady.

Teraz już znanym sobie szlakiem podchodzę pod Pico do Jorge. Zaczynają mnie ogarniać wchodzące na grzbiet mgły, co mi za bardzo nie przeszkadza, gdyż na ten rejon zdążyłem się napatrzyć poprzedniego dnia. Przy drugim dzisiejszym posiłku odczuwam nawet lekki chłód – może dlatego, że ulokowałem się w wąskiej szczerbinie przełączki – ale szybko się rozgrzewam podczas dalszego marszu. W okolicach mojego poprzedniego noclegu widoczność znacznie się poprawia, więc znowu jest na czym oko oprzeć. Chodzi za mną kawa, ale minęła już piąta po południu, a przede mną jeszcze ładny kawałek zaplanowanej na dziś trasy.

Kiedy mijam odbicie na wierzchołek Pico Ruivo, niebo ponownie się zasnuwa, tak że do zamkniętego schroniska docieram we mgle. Jednak moje naciśnięcie klamki wywołuje pewną reakcję, bo gdy sprawdzam następnie wodę w stojącej osobno polowej kuchni, otwiera się okienko w szczycie schroniska i pokazuje się głowa poznanego dwa dni wcześniej gospodarza. Po chwili zatem nabieram wody, kupuję piwo, a przy rozmowie dowiaduję się, że jakieś dziesięć minut drogi stąd znajdę podobną kuchnię z wodą i miejsce na biwak. Zostawiam zatem kwestię wyszorowania się po znojach całego dnia na później i po chwili się żegnam, nie poruszając już nieco intrygującej mnie tajemnicy: dlaczego trzeba wcześniej zgłaszać chęć noclegu w schronisku, skoro gospodarz jest cały czas na miejscu?

W międzyczasie słońce zaczyna się coraz częściej przebijać przez mgły, co daje ciekawe efekty wizualne, a ja mijam rozstaje, do których dwa dni wcześniej dotarłem od Pico do Arieiro. Tu się kończy powtórzenie trasy – odbijam w lewo i od razu widzę daszek, do którego kieruję kroki. To kamienny schron bez wody czy innych miłych udogodnień. To miejsce miał na myśli? Jest mało atrakcyjne i przede wszystkim bez wody… A może jeszcze nie minęło dziesięć minut? Może maderskie minuty są równie długie jak niegdyś chilijskie?

Zostawiam plecak i bez niego robię mały rekonesans, który jednak niczego nie rozjaśnia, więc ruszam po chwili w dalszą trasę. Na kolejnych rozstajach zostawiam główny szlak prowadzący do Achady i skręcam w lewo, kierując się na północ. Rozglądam się usilnie na wszystkie strony, jednak niczego interesującego nie udaje mi się dostrzec. W końcu daję za wygraną i zaczynam szukać miejsca pod namiot.

Po chwili znajduję w miarę poziome miejsce na grzbieciku, odrobinę powyżej szlaku. Przy rozkładaniu namiotu nieco przeszkadza mi wiatr, ale za to szybko wysuszy tropik, który rano zwijałem wilgotny. Gorzej, że szpilki wchodzą tak płytko, że całość trzyma się na przysłowiowe słowo honoru. W sumie najważniejszy kąt namiotu przymocowuję za pomocą sporego kamola i mogę uznać, że hotel otwiera podwoje. Sprawdzam spodnie – no tak, rozdarcie na siedzeniu jest imponujące.

Robię po kolei kawę, zupę, herbatę, zaś resztę wody muszę zostawić na jutro, czyli o żadnym myciu nawet nie ma mowy. Wieczór zaczyna się pogodnie, jednak powoli wtaczają się coraz gęstsze mgły, a zanim się położę spać, o tropik zaczynają bębnić krople deszczu. Mam nadzieję, że do rana się wszystko wyjaśni, gdyż mam zamiar jutro poznać bardzo ciekawą trasę lewadą przez Zieloną Kalderę do Piekielnej. Jutro też skończy się chleb, więc będę musiał tak pokombinować z dalszą wędrówką, żeby zahaczyć gdzieś o jakiś sklep. Ale to wszystko dopiero jutro...

Wojtek Spała

TO BYŁO

✔ 28.03 ślub Natalii Paszek i Michała Wielgusa. Cytując Natalię: „*No więc ślub odbył się, ale oczywiście tylko w obecności świadków i Urzędnika. Długopis został odkażony przed i po i wszyscy trzymali się od siebie w bezpiecznej odległości. Na weselu będziemy tańcować kiedy indziej. Za to świeciło piękne słońce i było naprawdę ciepło, czego akurat się nie spodziewałam jak w grudniu wymyśliliśmy sobie tę marcową datę (28.03.2020)*.”

✔ 30.05 odbył się ślub dwojga Harnasi – Agaty Kubiczek i Jacka Przyłuckiego.

✔ 20.06 kolejna para Harnasi – Ewa Szabelska i Staszek Wierzchowski zawarła związek małżeński.

✔ 27–28.06 odbył się pierwszy od początku pandemii wyjazd kursowy w Beskid Żywiecki, a konkretnie w Worek Raczański z noclegiem w bazie na Przysłopie Potóckim.

Planowane są kolejne wyjazdy jedno lub dwudniowe, a we wrześniu, jeśli sytuacja pozwoli, odbędzie się obóz w Bieszczadach.

✔ 14.07 po dłuższej przerwie wymuszonej pandemią udało się zorganizować zebranie wakacyjne. Odbyło się ono w Śląskim Ogrodzie Botanicznym w Mikołowie.

TO BĘDZIE

✻ 20.09 Rada Koła wraz z Paskudą planuje zorganizować spływ kajakowy na Warcie.
Start: Mirów k. Częstochowy.
Meta: Kłobukowice. Czas spływu: około 4,5 godz., koszt: 80 zł za kajak (cena z transportem kajaków i kierowców).
Żeby spływ mógł się odbyć, potrzebujemy chętnych na minimum 6 kajaków.
Na mecie w Kłobukowicach możemy zrobić ognisko, istnieje również opcja połączenia wyjazdu kajakowego z rowerowym.

✻ **25.09.2020 godz. 18:00 Walne Zebranie** w Liceum Ogólnokształcącym im. Powstańców Śląskich w Radzionkowie, Plac Jana Pawła II 8.

✻ Helcia zaprasza na wrześniowe zebranie w Palowicach. W planie m.in. wycieczka rowerowa po okolicy i ognisko. Dokładny termin zostanie ustalony wkrótce.

Spotkanie z Pieczem (ten w zielonym, bez kucyka) na bazie.